Cena numeru 10 zł.

RÓZGI BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok II 9 marca 1947 Nr. 11 (31)

„66 MILIONÓW NIEMCÓW NIE MOŻE ŻYĆ W STANIE UPOŚLEDZENIA" (Z ostatniej mowy min. Bevina)



Rys. REGINA KAŃSKA

DYPLOMATACZ

MARIAN PIECHAL

Portret wzorowego obywatela

Podziwiam księżyc złoty, i gwiazdy srebryste,
i noc pełną tajemnic, i dzień w letnim skwarze,
i uśmiech niewinności, i łzy wzruszeń czyste,
i rodzinnych pieleszy domowe ołtarze.

Cenię sobie rozwagę i rozstropność w mowie,
tudzież umiar w postępku, także takt w prezencji.
Uważam, że mądrości solą jest przysłowie
jako ekstrakt odżywczy ludzkiej egzystencji.

Szanuję cudze zdanie, nie szargam świętości,
staram się postępować zgodnie ze zwyczajem,
czczę zasady, hołduję obrazom przeszłości,
kocham bliźnego swego, jak on mnie nawzajem.

Chylę czoło przed prawdą, nie znoszę potwarzy,
pielęgnuję tradycje, trwam na posterunku,
nie schodzę nigdy z pola, wciąż stoję na straży,
służę radą, wymagam dla siebie szacunku.

Wprzęgam się w kierat życia rączy i ochoczy,
nie bezczeszczę pamiątek, liczę się z opinią,
nie gnę przed nikim karku, śmiało patrzę w oczy,
wstawiam się w położenie, idę prostą linią.

Zapobiegam złym skutkom, gwarantuję głową,
wykluczam niespodzianki, wychodzę z założeń,
odwracam sytuację, zaszczepiam myśl zdrową,
trafiam w sedno, grunt badam, zaś w gruncie tym korzeń.

Uzbrajam się w cierpliwość, nie chowam urazy,
nie szyję bliźnim butów, podnoszę zasługi,
nie dam sobie niczego powtarzać dwa razy,
biorę na zdrowy rozum, uiszczam wszelkie długi.

Żywię cześć dla siwizny, nie zadzieram nosa,
nie obchodzę przepisów, opłacam podatki,
nie wtykam swych trzech groszy do cudzego prosa,
uznaję złoty środek, reguluję składki.

Urabiam się po łokcie, nie skąpię zapału,
nie pozwalam nikomu dmuchać sobie w kaszę,
kończę sprawę i żegnam, śpieszę się pomału,
nie czuję nóg, uśmiechem smutek życia kraszę.

A więc podziwiam, cenię, uważam, szanuję,
liczę się, zapobiegam, zaszczepiam, odwracam,
nie szargam, kocham, kraszę, czczę, trwam, pielęgnuję,
badam, nie wtykam, palę, uiszczam się, opłacam,

bywam, żywię, tkwię, wiszę, urabiam, hołduję;
stąpam, wstawiam się, trzymam, milczę, nie bezczeszczę,
uzbrajam się, oddaję, nie gnę, gwarantuję,
wykluczam i —co jeszcze? co jeszcze? co jeszcze?

Jeszcze biję pokłony przed klejnotem w godle,
męstwem przodków po mieczu, cnotą po kądzieli,
i kajam się, i czołgam, i żarko się modlę,
żeby ten fałsz z głupotą wreszcie diabli wzięli..

W MARCU — JAK W GARNCU

Miesiąc marzec jest, jak wiadomo, okresem kocich amorów. Nie tylko jednak — kocich. Np. w bieżącym roku zainaugurował sezon brytyjski kawaler marcowy, minister gaff zagranicznych — Bevin. „Dostał nagle takiej manii, że chce tylko — dla Germanii". „Poziomu", „rozwoju", „odrodzenia", „pomyślności" i „federacji". Niemców nie wolno: „upośledzać" „obniżać", „hamować" itp. Niemcom należy: „dopomóc", „nie przeszkadzać", „pójść na rękę" itp.

To oświadczenie, będące właściwie oświadczynami w stosunku do Rzeszy, grzeszy prawdziwie marcową, powiedzmy, lekkomyślnością. Bo kiedy mąż stanu wlazł sobie na płotek i mruga — Niemcy mu odrazu odmrugnęli. Spiskiem bakteriologicznym. Przygotowaniem do rozpowszechnienia epidemii. Dżumy, dyfterytu i tyfusu — dla ludzi, pryszczycy dla zwierząt.

Niemiecka kolumna śmierci została wykryta akurat przed przemówieniem Bevina. Skłoniło go to do wyrażenia wątpliwości: „nie jestem wcale pewny, czy nawet po dwóch wojnach i po dwóch klęskach Niemcy uświadomili sobie skutki klęski i nonsens wojny jako argumentu politycznego". Rebus sik stantibus (niby — z tymi zastrzeżeniami) jakiż, u licha, cel odgrywać rolę „Ojca Zadżumiających"? Próba przed przedstawieniem w Moskwie? Nic z tej kreacji nie będzie. „Pierwsze kotki — za płotki".

* * *

„Nonsens wojny jako argumentu politycznego" zaznacza się w ostatnich dniach specjalnie ostro, jeśli chodzi o Palestynę. Wprowadzając tam, bodaj od 1 marca, plan tzw. „Chippo", hippika brytyjska zdaje się dosiadać i kiełznać zupełnie niewłaściwego „konia". Zamiast pojeździć na Niemcach kulbaczy ludy wyrywające się do wolności. W Rzeszy — ewangelia, w Palestynie — najsurowsza okupacja.

„Nie jestem wcale pewny", czy p. Bevin „uświadamia sobie", że powinno być „cokolwiek" inaczej. Nie przekonały go bowiem nawet perswazje Białego Domu, dotyczące wznowienia Białej Księgi: na złość Białemu Domowi, na przekór Białej Księdze sprawą wygląda coraz czarniej...

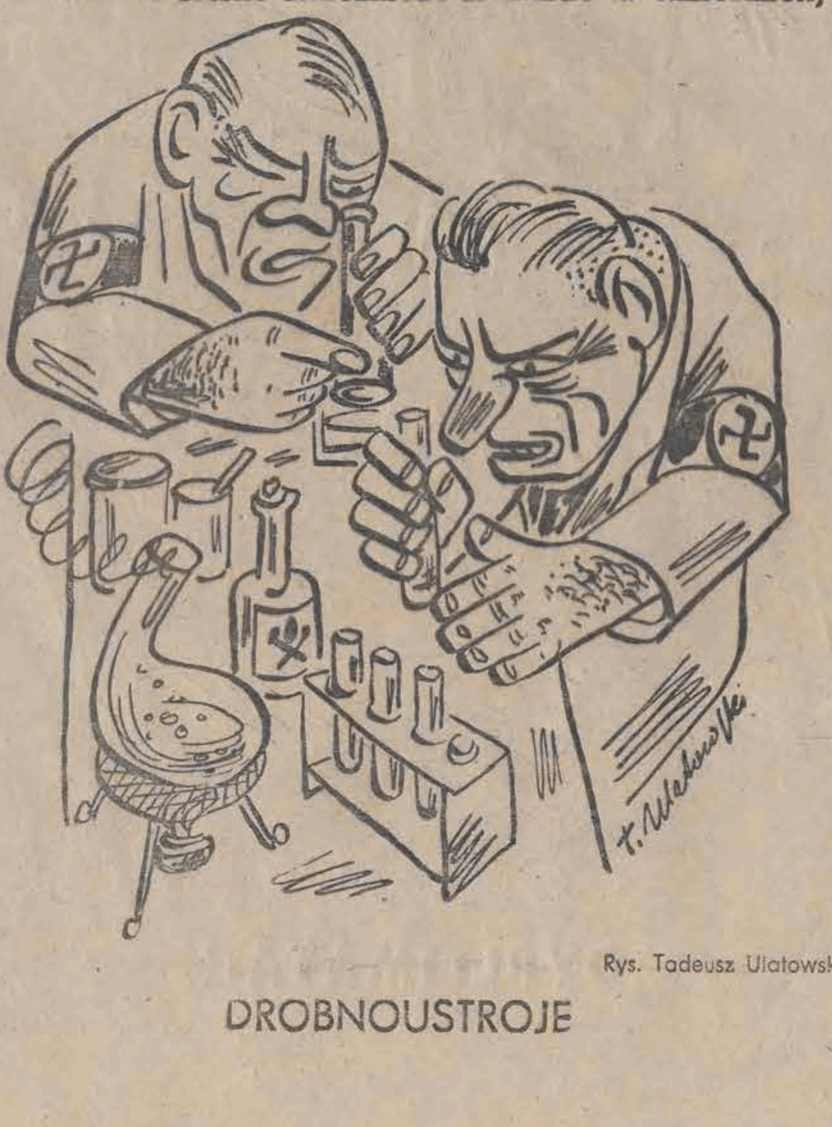
* * *

Ameryka ma zupełnie odmienne kłopoty, niż Anglia. Przede wszystkim: co zrobić z masą forsy, zarobionej na ostatniej wojnie? Oczywiście, wypada ją przyzwoicie ulokować. Najlepiej w gruncie. Ideałem byłoby nabyć którąś z części świata. Niestety, nic z tego. Nie to, żeby pieniędzy nie starczyło, ale grunt nie na sprzedaż. Pozostają więc jedynie mniejsze parcele, w bliższej i dalszej okolicy, jak dajmy na to, Grenlandia czy Islandia.

Nie przesądzając rezultaty tranzakcji (na razie z powodu tych wysp jest wielka wsypa w prasie duńskiej) należy wierzyć, iż celem interesu jest niewątpliwie troska o dobro obywateli amerykańskich. Tych mianowicie, którzy odbywają służbę wojskową. Żeby mieli gdzie jeździć na manewry. Boć prawdopodobnie wyspy te są raczej potrzebne na bazy wojenne niż kolonie wypoczynkowe dla dzieci.

Stefan Stefański

W POSZUKIWANIU FORMY USTROJOWEJ
(PO WYKRYCIU SPISKU BAKTERIOLOGICZNEGO W NIEMCZECH)



Rys. Tadeusz Ulatowski

DROBNOUSTROJE

LIST Z KRYNICY

Tekst i rysunki KAZIMIERZA GRUSA



Luby mój!
1. Miałeś rację namawiając mnie do wytchnienia po fatygach szarpiących nerwy. Odpoczywam!



2. Na deptaku spotykam wielu życzliwych mi kuracjuszów, z którymi wymieniam głębokie myśli.



3. Bałam się bardzo tej „naftusi". Nie jest ona jednak tak wstrętna, a nawet można ją po krótkim czasie spijać namiętnie.



4. Choć nie tak jak w Zakopanem i tutaj grożą czasem lawiny, to też dalsze wycieczki odbywam w towarzystwie rytunowanego przewodnika.



5. Legendy o harnasiach, tych rycerskich zbójach, chodzą mi wciąż po głowie, to też gdy zapuszczam się w jakieś dzikie knieje, boję się, że wyskoczy zza złomu skalnego taki junak i zagrozi mej czci niewieściej.



6. A gdy blady księżyc wyjrzy zza chmur i posrebrzy swym blaskiem śnieżne całuny, siedzę godzinami przytulona do smutnego pnia i marzę, marzę, marzę...



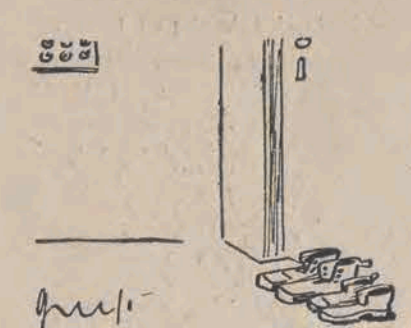
7. W myśl mądrych rad Twoich czytam dużo i pochłaniam wprost dzieła mistrzów pióra. Gustuję też w czytaniu Żywotów Świętych!



8. Wraz z kogutem budzę się po nocy bez snów, aby pokrzepiona na ciele przeżywać nowe lecz zdrowe emocje.



9. Podpatruję wnikliwie miejscowy folklor, napawam się jego barwami, poezją, wdziękiem...



10. Cicha noc otula mnie swymi skrzydły i kojarzy z Tobą w snach o jakżesz uroczych i niezapomnianych.

Twoja i nawet poza grób Twoja
ZIUTA

ŁOSOSIOWA Z KOKARDĄ

— Krawiec pani konsulowej przyszedł i pragnie się zobaczyć z panem konsulem — zameldowała pokojówka.

Konsul Gerson zdziwił się.

— Krawiec mojej żony?.. Niech wejdzie...

Po chwili wtoczył się do pokoju okrąglutki, pulchniutki człowiek, zacierający w zakłopotaniu ręce.

— Bardzo wiele mnie to kosztowało zanim przyszedłem do pana, panie konsulu—rzekł krawiec.

— Zazwyczaj pańskie odwiedziny są dla mnie kosztowne — odpowiedział konsul.

Krawiec przyoblekł swą okrągłą jak koło polarne twarz w najpiękniejszy uśmiech, jaki posiadał na składzie.

— Tak, panie konsulu, to było wesołe, choć bardzo trafne powiedzenie. Niestety, tego, co mam teraz powiedzieć, nie można zbyć żartem. Muszę wypełnić tym razem bardzo przykrą misję. Właśnie pani konsulowa była u mnie i zamówiła wieczorową suknię koloru łososiowego. Oczywiście pani konsulowa jest kobietą pełną wdzięku młodzieńczego i czaru, kobietą o niezwykłych zaletach ducha i umysłu. Przekonałem się o tym, mając od 27 lat zaszczyt ubierania pani konsulowej. Sama jednak pani konsulowa, niestety, jak mi się zdaje — zapomina o tym...

— Czy doszło do jakiegoś nieporozumienia?

— Ależ nigdy w życiu! Wprost przeciwnie. Lecz, niestety — pan konsul daruje, ale to moje przysłowie — dwadzieścia siedem lat to okres długi. Zwłaszcza dla kobiety, która jada dość często i której pożywienie wychodzi na zdrowie. Dziś dla pani konsulowej odpowiedniejsza byłaby innego rodzaju elegancja niż dawniej, powiedziałbym nieco dyskretniejsza. A tymczasem pani konsulowa raczyła u mnie zamówić aksamitną suknię właśnie koloru łososiowego. Łososiowego i w dodatku aksamitną. W talii opięta i w biodrach wolniejsza. I w dodatku z wielką czarną, taftową kokardą. I do tego króciutki żakiecik z kołnierzyczkiem marynarskim. Ja za to nie mogę brać odpowiedzialności. Takiej sukni nie zrobię za żadne pieniądze... Niech mi pan pomoże, panie konsulu!...

Głos krawca załamał się. Jeszcze chwila, a rozpłacze się jak małe dziecko. Konsul Gerson potrząsnął głową.

— Bardzo żałuję — ale ja nie mogę przecież przecież powiedzieć swojej żonie, że się podstarzała, że przybyło jej na wadze...

Krawiec zerwał się z krzesła.

— Ależ nigdy w świecie. Pani konsulowa nie jest starą kobietą — ma dopiero 58 lat. Gruba — kto mówi, że ona jest gruba? Ma w talii 120 centymetrów, ale gruba nie jest...

Konsul podał krawcowi rękę na pożegnanie.

— Być może, że znajdę jakiś sposób, aby wytłumaczyć to mojej żonie.

* * *

Przez dłuższą chwilę konsul Gerson stał przed lustrem. Małżonka jego tymczasem chrupała karmelki śmietankowe. Gdy konsul Gerson przed 35 laty poznał swą żonę — wtedy też chrupała karmelki śmietankowe.

— Co tak przyglądasz się sobie w lustrze — zawołała, wykorzystując jedną z rzadkich chwil, gdy zęby jej przestały chrupać karmelki.

— Widzę, że się starzeję, droga Carmeno. Twarz mam już pomarszczoną — czoło jest coraz wyższe, widać wielkie zmęczenie w oczach...

— Tak, tak — przyświadczyła zgodnie małżonka — starzejesz się, niestety, mój drogi...

— Trudno godzę się z tym — nie można być ciągle młodzieńcem. Mógłbym już dziś być dziadkiem. Od dzisiejszego dnia wyrzekam się już męskich ambicji. Będę nosił białe kamasze i wygodne lekkie trzewiki. Nie będę się ubierał według wymagań ostatniej mody — nie chcę być śmiesznym...

— Och, będziesz doprawdy czarującym starszym panem, to takie miłe — zawołała wiośnianym głosem konsulowa.

— Ach, dziękuję ci najdroższa. Ale mam jeszcze jedno zmartwienie. Czy przypadkiem nie będzie to śmieszne, gdy ja, taki starszy pan, będę pokazywał się w towarzystwie takiej młodej i eleganckiej kobiety, jak ty. Masz tak świetnie ufarbowane włosy, tak dobrze zrobioną twarz, tak bajecznie kolorowe suknie. Doprawdy, z daleka wyglądasz, jak dwudziestolatka. Czy nie mogłabyś dla mnie?..

Pani Carmena pogładziła konsula po pięknych, choć już rzadkich włosach i powiedziała:

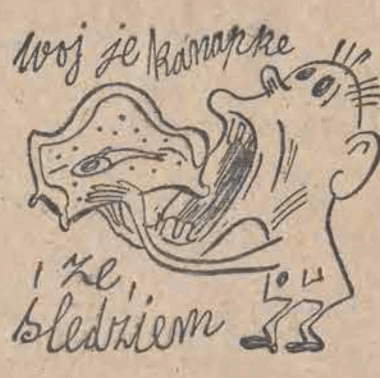
— Ależ chętnie, najdroższy. Zaraz wezwę mojego krawca i dam mu dyspozycję co do mojej sukni.

* * *

Pani konsulowa Gerson wydała swemu krawcowi nowe dyspozycje:

— ...a ponieważ mój mąż rzeczywiście się starzeje, więc to byłoby niestosowne, gdyby pokazywał się z taką młodą żoną. Niech więc pan trochę skróci tę aksamitną, łososiową suknię. Kokardę zrobi pan trochę większą, a żakiecik trochę wolniejszy. W ten sposób unikniemy ośmieszania mego męża. Wszyscy będą mnie brali za jego córkę, lub wnuczkę. Przecież sam powiedział, że mógłby być już dziadkiem...

opracowała z francuskiego J. S.









Rys. Kazimierz Grus

BOGDAN BRZEZIŃSKI

AMOR DO WYNAJĘCIA

W pewien marcowy wtorek pan Erazm Knotek poczuł dziwny niepokój.

— Do diaska! — mruknął — Nie jestem przecież kotem, a jednak...

Potem popadł w głęboką zadumę.

— Właściwie moje życie nie jest godne zazdrości — rozmyślał — Mam już swoich czterdzieści pięć lat, a żyję samotny, jak palec. Gdybym miał żonę, ewentualnie plus dziateczki, życie moje nabrało by nowych blasków. Ba! Ale skąd tu wytrzasnąć tak raz-dwa małżonkę?...

Zastanawiał się nad tym zagadnieniem przez dwa dni.

Trzeciego dnia przyszedł mu genialny pomysł do głowy.

— Są przecież biura matrymonialne! Takie pożyteczne biuro za pewną kwotę najmiększych, czyli złociszów, dostarczy mi kandydatkę według mojego gustu! Hurra!

Z tym „hurra"na ustach chwycił gazetę i gorączkowo zaczął przeglądać dział ogłoszeń. Istotnie — znalazł ogłoszenie firmy „Zew serca", która polecała panie i panów w najlepszym przedwojennym gatunku. Pan Erazm zapisał adres i pobiegł do „Zewu serca".

Pożyteczna firma mieściła się na trzecim piętrze ponurej kamienicy, w niewielkim, ciemnym pokoju. Za biurkiem siedziała starsza, szpakowata dama.

— Czym mogę panu służyć? — spytała z zainteresowaniem.

— Chciałbym... chciałbym...

— Się ożenić? — podpowiedziała domyślnie dama.

Pan Knotek skinął głową z rumieńcem na twarzy.

— Ach, to nic zdrożnego! — zapewniła pani — Mamy wielki wybór pań. Wszystkie piękne, gospodarne, uczciwe, wykształcone i dobre, chociaż — jak na złość — niebogate...

— To nie gra roli, proszę pani! Powodzi mi się nieźle — zapewnił pan pan Erazm.

— To świetnie! — ucieszyła się dama — A jaki pan ma gust?

— Lubię słodkie blondynki... — wyznał nieśmiało stary kawaler.

— Ewa! Ewa będzie dla pana, jak ulał! — zawołała dama.

Otworzyła szufladę biurka i wyjęła fotografię formatu gabinetowego.

— No, co pan powie? — spytała z triumfem, wręczając fotografię panu Erazmowi.

— Urocza! — zawołał pan Knotek z zachwytem.

— Niech pan się tylko dobrze przyjrzy! Jakie usta, jakie oczy, co za włosy, jaki biust!

— De biustibus non est disputandum... — odparł skromnie pan Erazm, który ukończył gimnazjum klasyczne.

— Więc bierze pan? Zapakować? To jes... tego.. Pragnie ją pan poznać?

— Ależ oczywiście!

— To proszę przyjść tutaj o piątej. Zapozna się pan z nią.

— Wspaniale! A ile płacę szanownej pani za pośrednictwo?

— Na razie nic. Pogadamy o tym po ślubie.

— Jak pani sobie życzy — powiedział pan Erazm, wpatrując się z przejęciem w sfotografowane rysy przyszłej żony.

Nazajutrz w kawiarni pan Knotek siedział w towarzystwie dwóch znajomych starych kawalerów, Agapita Chrupczałki i Hipolita Bączka.

— Panowie! — wołał z entuzjazmem — Daję wam słowo, że nie przesadzam! Wierzcie mi, że znalazłem drogę do szczęścia! Za trzy miesiące żenię się z tą cudowną dziewczyną. Ach, jakaż ona miła! A jaka gospodarna! Pierwszy raz widziała mnie na oczy, a już wypytywała mnie, czy lubię befsztyki wysmażone, czy raczej po angielsku... I od razu zauważyła, że mam oberwany guzik: To skarb, powiadam wam!

— A gdzież wykopałeś ten skarb? — spytał z trochę ironicznym uśmiechem pan Bączek.

— Tu właśnie dopiero jest cała sensacja... Poznałem ją za pośrednictwem biura matrymonialnego „Zew serca". Co za solidna firma! Czy dacie wiarę, eż właścicielka tej firmy nie wzięła ode mnie grosza — powiada, że dopiero po ślubie się rozliczymy!

— To rzeczywiście uczciwa jakaś firma... — mruknął pan Chrupczałka — Hm, możeby też zaryzykować?... Kupić — nie kupić, potargować można!...

— No pewnie! — zawołał gorąco szczęśliwy narzeczony.

— Słuchaj, może podasz mi adres tego twojego „Zewu" — na wszelki wypadek...

— Proszę bardzo!

Pan Bączek nic nie odpowiedział, ale zamyślił się głęboko.

Nazajutrz przyjaciele znów spotkali się w swojej kawiarni.

— Wiecie — powiedział z zażenowaniem pan Chrupczałka — rozważyłem sobie w domu wszystko, co powiedział Knotek i doszedłem do wniosku, że może rzeczywiście dobrze byłoby się ożenić? I poszedłem do tego „Zewu"...

— Poszedłeś? No, niech cię uściskam, stary byku!

— Zaraz, daj spokój. Poszedłem i wpadłem...

— Jakto wpadłeś? — zaniepokoił się pan Erazm.

— No... już po zaręczynach!

— Hurra! Blondynka, tak jak moja Ewusia?

— Nie, brunetka. Ognista bestyjka! Ja lubię tylko brunetki!

— No to cudownie! Od razu przypadła ci do gustu?

— Od razu. Gra na fortepianie, a niezależnie od tego, moi drodzy, umie przyrządzać zrazy po nelsońsku, bliny, gołąbki z ryżem, pasztet... Dla mnie to bardzo ważne, bo ja jestem smakosz!

— Pan Bączek kręcił się niespokojnie. Nagle powiedział:

— Skoro tak, to i ja się przyznam... Ja też tam poszedłem... I wybrałem sobie żonę. Urocza, przemiła! Ruda jak wiewiórka. Lubię takie, psiakrew! Wolno mi lubić rude?

— Ależ wolno, przyjacielu najdroższy! — wykrzyknął czule pan Knotek — Widzę, że wszyscy trzej bierzemy rozbrat ze starokawalerstwem!

— Czort z nim! Mam już dość trucia się w restauracjach! — wyznał pan Chrupczałka.

— A czekaj! Jak twojej przyszłej na imię? — zwrócił się pan Erazm do pana Chrupczałki.

— Basia. Basieńka!

— Śliczne imię! A twojej?

— Kasia. Katarzynka!

— Też bez zarzutu! A nazwisko? Bo moja de domo Kropidłowska.

— Jak? — krzyknął pan Chrupczałka.

— Jak?! — ryknął pan Bączek.

— No, Kropidłowska... Czy to takie osobliwe nazwisko?

Nagle obydwaj przyjaciele pana Knotka zaczęli się hałaśliwie śmiać.

— A to kapitalne! Oj, bo skonam!.. A to parrradne!!

— Z czego się śmiejecie tak idiotycznie? — spytał z urazą pan Knotek.

— Człowieku! To przecież zdumiewający zbieg okoliczności! Moja Basieńka też się nazywa Kropidłowska! — zawołał pan Chrupczałka.

— I moja Kasia też — uzupełnił pan Bączek.

Aby rozstrzygnąć tę zdumiewającą zagadkę — przyjaciele wsiedli w taksówkę i pojechali do „Zewu serca". Gdy wyjaśnili damie cel przybycia, właścicielka firmy zarumieniła się aż po szpakowate włosy i odparła:

— To bardzo proste: wszystkie trzy narzeczone są moimi córkami!

— Jakto? Pani je sama zgłosiła do swego biura?

— Nieściśle się pan wyraża, panie Knotek ja to biuro wogóle stworzyłam po to, żeby wydać zamąż moje córeczki! Mam ich dziesięć, proszę drogiego pana, a kandydatów do małżeństwa nie jest wielu! Ale czy to panom co przeszkadza? — dodała z niepokojem.

— Ależ skąd! — zapewnił ją pan Bączek — Ja jestem zachwycony Kasią!

Nagle pan Cchrupczałka zachichotał. Dama spojrzała na niego ze zdziwieniem.

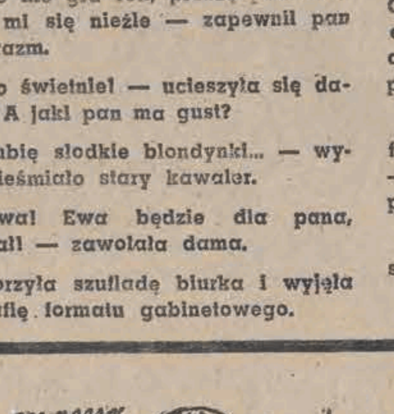
— Z czego się pan śmieje? — spytała z godnością.

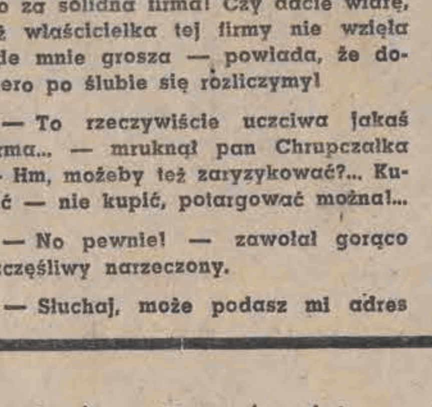
— Ech, nic...: Tylko śmiać mi się chce, że wszyscy trzej będziemy mieli jedną teściową!..:

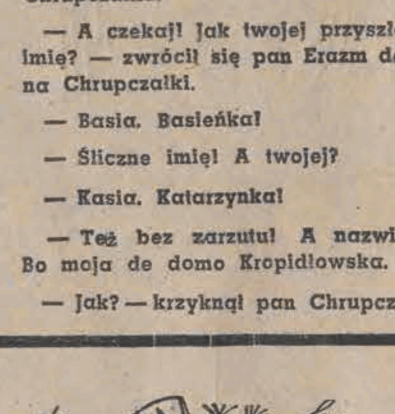
— Cóż to szkodzi? Ja jestem bardzo poczciwa! A jeśli spełnicie moją prośbę, to będę dla was anielsko dobra.

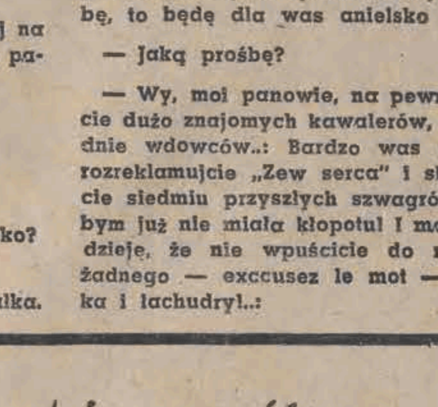
— Jaką prośbę?

— Wy, moi panowie, na pewno macie dużo znajomych kawalerów, względnie wdowców...: Bardzo was proszę, rozreklamujcie „Zew serca" i skaptujcie siedmiu przyszłych szwagrów! Żebym już nie miała kłopotu! I mam nadzieję, że nie wpuścicie do rodziny żadnego — exccusez le mot — pętaka i łachudry!..:







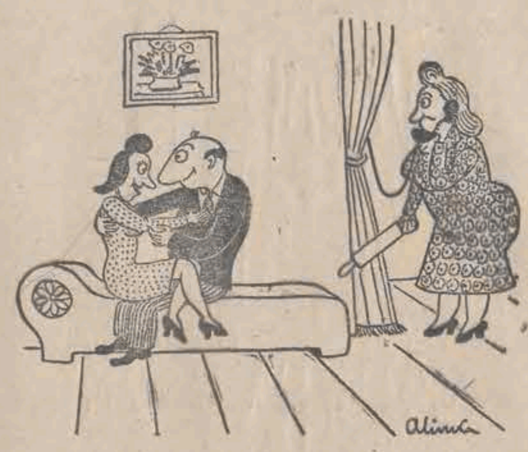


Rys. Kazimierz Grus



Rys. Alinka

...siódemka, dziesiątka, walet; trefl... znaczy: bliska wizyta nieznajomego!



Rys. Alinka

— Pogotowie Ratunkowe? Proszę przyjechać zą pięć minut na Bandurskiego 8!



Rys. Alinko

— Owszem zreperujemy, ale proszę przynieść cały zegar!

— A po co? Zegarowi nic nie brakuje. To tylko to wahadło ciągle staje.

HORACY SAFRIN

PRZYJACIELE

Na ogół biorąc, należę do kategorii ludzi „mocnych". Muskuły moje nie przypominają wprawdzie bicepsów Herkulesa, a na ringu życiowym daleko mi do koguciej wagi. Jestem jednak człowiekiem zasad. Zasady moje są niezłomne i stosuję je z powodzeniem na każdym kroku.

Gdy ożeniłem się, oglądnąłem się przede wszystkim za godziwym przyjacielem domu. Znalazłem ich dwóch — w myśl zasady: gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta....

Wybór mój okazał się ze wszech miar trafny. Przyjaciele moi w najwyszukańszy sposób uzupełniali się wzajem. Jeden brunet, drugi blondyn — tworzyli tę przedziwną harmonię, na jaką stać tylko dwa kontrastujace ze sobą kolory. Jeden smukły, drugi brzuchowaty; wyglądali, jak chodzące symbole inicjatywy i stateczności. Jeden właściciel ekwipażu, drugi krytego „Forda" — obwozili mnię po mieście to końmi, to limuzyną.

Przyjaciele z rozczulającym samozaparciem dbali o moje gospodarstwo domowe. Jeden załatwiał sprawunki, rozliczał się z kucharką, gubiąc się w zawiłych dociekaniach algebraicznych. Drugi — w granicach przyzwoitości — zabawiał naszą uroczą pokojówkę obyczajowymi dykteryjkami...

Przyjaciele odczytywali mi z oczu literalnie każde życzenie. W barze trącali się ze mną kieliszkami, w klubie kibicowali mi przy brydżu. Gdy westchnąłem, robili kwaśne miny — gdy zaśmiałem się, chichotali dyskretnie. Gdy ziewnąłem, jeden z nich pukał trzy razy w stół, a drugi zauważał troskliwie, zwracając się do mojej żony: „Małżonek pani zmęczony jest całodzienną pracą". Otrzymywał wprawdzie stereotypową odwiedź: „On zawsze śpi" — ale to nie mąciło bynajmniej naszej przyjaźni.

Sielanka ta trwała tak długo, póki — jak to mawiają — nie zakwitły aleje lipowe, a dłużące się w nieskończość dni czerwcowe nie zwiastowały nadciągających kanikuł. Należało pomyśleć o odpowiednim letnisku dla żony.

Moi przyjaciele i w tym wypadku nie poskąpili mi swych cennych porad. „Pańska żona jest anemiczna i należałoby wysłać ją do Krynicy..." „Pańska żona ma naruszone szczyty płucne i mogłaby wrócić do zdrowia w dolinie Kościelisk..." Przedmiot wnikliwej, acz niezgodnej ekspertyzy moich przyjaciół, obrzucił naszą trójke powłóczystym spojrzeniem i wyrzekł dobitnie jedno słowo: „Sopoty"... Konflikt był z miejsca zażegnany. Roma locuta. Wybór uzdrowiska był, że tak rzeknę, „z góry" przesądzony.

Przy pociągu odegrała się jeszcze wzruszająca scena.

Wszyscy trzej staliśmy w podstawie „na baczność". Miny mieliśmy rzadkie, oczy załzawione i kiwaliśmy zamaszyście chusteczkami do nosa...

Po wyjeździe żony, sytuacja zmieniła się nie do poznania. Moi przyjaciele puścili mnie w trąbę i nastały dla mnie dni słodkiego „far niente" — —

Ale wszystko ma swój koniec — nawet słoną ceną okupiona samotność.

Pewnego dnia wpadł do mnie, jak bomba — sapiący, zziajany blondyn.

— Co się stało? — zagadnąłem troskliwie.

— Pojechał za nią.... do Sopot... — odparł, zachłystywując się.

— Dobry, kochany chłopak — rozczuliłem się na serio.

— Zastrzele ich oboje!!!

W obliczu tej groźby, zerwałem się z krzesła. Zużywając wszystkie zasoby swej przyrodzonej swady, starałem się go w miarę możności uspokoić, gładziłem jego pucułowate policzki i nalatującą łysinę..

W odpowiedzi huknął nieswoim głosem:

— Tchórz!!

I zatrzasnął drzwi przedpokoju

Po upływie dwóch tygodni powrócił brunet. Spotkał mnie w parku, w towarzystwie mojej nowej przyjaciółki, Ziuty — przystanął, odchrząknął i wycedził ceremonialnie:

— Zaręczyłem się wczoraj z pańską żoną.

— Bardzo mi przyjemnie — odpowiedziałem. — A teraz zapoznam państwa — panna Ziuta...

I dodałem bez zająknienia:

— Narzeczona męża pańskiej narzeczonej.

Splunął przed się i rzucił nonszalancko:

— Poleci!...

Odtąd nie szukam przyjaciół. W stanie narzeczeńskim nie są mi potrzebni. Gdę ożenię się po raz drugi, zgłoszą się do mnie sami.

LUDWIK JERZY KERN

JAK DŁUGO?...

Śnieg ciągle pada, wiatr ciągle wieje,
sroga panoszy się zima.
Najdrożsi moi! Coś źle się dzieje!
Wiosny jak nima, tak nima.
Pytam więc mili, quo usque tandem
będziemy znosić tę grandę?

Bo, prawda, chciałby człowiek na łono
wyrwać się do tej zieleni.
Chciałby położyć się, jak wiadomo,
na ławce, albo na ziemi,
a tu tymczasem leży na łonie
śniegu mniejwięcej po tonnie...

Cóż ma więc w takich warunkach robić
chłopak ze swoja dziewczyną?
Biedny, jak może tak radzi sobie
(troche pomaga mu kino)
W kinie całusa dostanie od niej,
Lecz w parku dużo wygodniej...

Te sprawy ludzkie mając na względzie,
o bliźnich swych wiedząc krzywdzie,
aż strach pomyśleć, co dziać się będzie
jeżeli wiosna nie przyjdzie.
Widze już pary trwające w transie
na trzecim z rzędu seansie.

Niby jesteśmy uświadomieni
i prawa swoje już znamy,
a tu jak na złość by stan ten zmienić
jakoś sposobów nie mamy.
Dlatego chciałbym zaproponować:
trza zejść się, zorganizować.

Potem wiec zwołać. Wybrać komitet,
Petycję wysłać do władzy.
Niech władza wyda odnośny kwitek
i niech, do licha, zaradzi.
Niech władza powie quo usque tandem
będziemy znosić tę grandę...

PO WEJŚCIU W ŻYCIE USTAWY AMNESTYJNEJ



Repatriacja



Rys. Karol Baraniecki

Demobilizacja



Rys. Maja Berezowska

— Pani Cegiełkiewiczowa, dlaczego się pani kąpie ze wszystkimi córeczkami naraz?
— Bo każda z nas ma prawo używać łazienki przez 5 minut, a tak siedzimy sobie w wodzie przez całe 25 minut!

Listy do Redakcji

W SPRAWIE PIECZĄTKI

Dom, w którym mieszkam, Panie Redaktorze, to taki przeciętny dom: ani za duży, ani za mały, ale w sam raz Ogółem dziesięciu lokatorów.

Mieszkanka mamy miłe, przytulne. Wygody mamy. I zdawałoby się, że nam nic do szczęścia nie potrzeba. A tu tymczasem nie. Bo to szczęście, proszę Pana Redaktora, jest tylko pozorne. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że wszstko w porządku, ale jak się tak przypatrzyć bliżej, pomieszkać rok, albo dwa, zaznajomić się z t. zw. stanem rzeczy, to człowieka nagle pesymizm ogarnia i źle zaczyna być człowiekowi na świecie.

Niech tylko Pan Redaktor posłucha: jak już wyżej zaznaczyłem, między innymi wygodami, mamy Komitet Domowy. Każdy z dziesięciu lokatorów zasiada w tym Komitecie w takim czy innym charakterze i robi co może. Nawet obiektywnie trzeba przyznać, że Komitet pracuje bardzo ładnie. Bo to i posiedenia się organizuje raz na tydzień, gazetkę ścienną wydaje, maszynę do pisania się kupiło, powielacz się zdobyło, żeby można było okólniki drukować i ze skóry się wyłazi, żeby było wszystko jak najlepiej i wzorowo.

Śnieg naprzykład upadł — my zaraz odnośne zarządzenie. Rury wodociągowe popękały — my zaraz dekret. Wygody się zapchały — my momentalnie instrukcje. Wydaliśmy w ten sposób cały szereg poleceń, zarządzeń, instrukcji, dekretów domowych, wezwań i t. d. i t. d. Naturalnie wszystko na powielaczu w nakładzie 10 (słownie: dziesięciu) egzemplarzy! I wie Pan Redaktor co z tej naszej ciężkiej z poświęceniem wykonywanej i gratisowo-społecznej pracy wynikło? Nic! Śnieg, jak leżał, tak leży, rury, jak zaczęły pękać, tak pękają dalej, wygody zapchały się w takim stopniu, że tego człowiek ma powyżej... dziurek od nosa:

A dlaczego? Dlatego, proszę Pana Redaktora, że pieczątki nie ma! Wszystko jest, a pieczątki nie ma! A u nas, jak nie ma pieczątki, to nikt zarządzeń nie respektuje.

Kilkakrotnie, przy różnych okazjach, zwracałem osobiście uwagę na to skandaliczne niedopatrzenie, ale głos mój pozostał głosem wołającego na puszczy o kawałek papieru. Zakrzyczeli mnie. „My tu — powiadają — żadnych przerostów biurokracji nie chcemy. My się pieczętować będziemy naszą pracą! Pieczątki nam nie potrzeba!" No i teraz, Panie Redaktorze, zbieramy owoce takiego światopoglądu.

Kończąc, zwracam się z gorącym apelem do Pana Redaktora, aby zechciał użyć całego swojego wpływu odnośnie pieczątek. Pieczątki muszą być! Bez pieczątek ani rusz!

Z poważaniem L. J. K.

(Nazwisko Korespondenta znane Redakcji).

JAN CZARNY

FRASZKI

PARADOKS

Z chłopcami na ślizgawkę żona chodzi codzień.
Mąż się ślizgać nie umie — zostaje na lodzie...

GRZECZNOŚĆ

Na grzeczności — w to wierzył — nikt nigdy nie traci.
Grzeczność damie uczynił, alimenty płaci...

O JEDNEJ

Szybko w jej towarzystwie — możecie mi wierzyć
- znika czas (wraz z przyrządem, którym go się mierzy...)

ZAKOCHANY MĄŻ

Dotychczas jeszcze nie wie, że żonę ma śliczną,
bo zawsze, gdy są razem — gasi elektryczność...

RYBAK

Ten jegomość łowi ryby w mętnej wodzie.
Skąd wiem? — Kilka flonder widać przy nim codzień...

SYMPTOMAT

Symptomat niezawodny, w który zawsze wierzę:
Żona nosi futro — mąż porasta w pierze...

ŻALE I PRETENSJE

AUTORZY NIEWSPÓŁCZEŚNI

„Kuźnica" z 5. III. 1947 w przeglądzie prasy pisze:

...Cenzura frankistowska — Schleyen cytuje według konspiracyjnego „Neustro Tiempo" — nie zezwala na drukowanie lub debit w H'szpanii książek Voltaire'a, Renana, Hugo, Romain Rolanda, Shawa, Huxleya, Croce'go, nie mówiąc, rzecz prosta, o autorach współczesnych.

Shaw, rzecz prosta, żył w XV-tym wieku, a Huxley w XVII-tym.

NO, NO!

Przekrój" z 22. II. 1947 r. zamieścił reportaż z otwarcia Sejmu. W reportażu tym m. in. czytamy:

...Do rekwizytów historycznej tradycji — prócz Straży Marszałkowskiej, Laski Marszałkowskiej i Konstytucji oprawnej w czerwoną skórę — należała w pierwszym rzędzie banderia szwoleżerów, która jadąc galopem, z pochylonymi lancami, wyprzedzała auto Prezydenta, gdy z Belwederu udawał się na ślubowanie do Sejmu.

Konstytucja „rekwizytem historycznej tradycji"? Czyjeż to poglądy reprezentuje ilustrowany tygodnik krakowski p. t. „Przekrój"?

NAJMĄDRZEJSZY CZŁOWIEK W POLSCE

Trudno jest wartościować w sensie ujemnym. Nie da się np. tak łatwo ustalić, kto jest najgłupszym człowiekiem w Polsce. Łatwo natomiast dojść do wniosku, iż najmądrzejszym jest nie p. Łatka a p. Jaszcz z „Odrodzenia". Co tydzień omawia pisma o różnych zainteresowaniach i różnych przeznaczeniach i każdemu ze znawstwem oraz pewnością siebie wystawia notę.

Oto próbki z ostatniego omówienia, dotyczącego aż pięciu pism z różnych dziedzin: „ambicje niezbyt śmiałe", „nadzieje zbyt różowe", „niewątpliwie... jest miejsce na czasopisma regionalne", „należy pochwalić", „nie widać redakcyjnej myśli przewodniej", „pod szumnym tytułem„ żywo informują", „można wytknąć", „charakterystyczne pomieszanie", „ma rację", „interesujące przyczynki", „dalsze teksty... są nierówne jak współczesna produkcja dramatopisarska"...

W podobny sposób co tydzień znawca wszystkiego p. Jaszcz zabiera głos, szczodrze operując pochwałami i przyganami, pouczaniami i nagabywaniami.

Był już jeden taki fachowiec od wszystkiego. I również w Krakowie. W tomie Boya „Znaszli ten kraj" jest felieton pod tytułem: „Ariel Kaliban" a w nim występuje postać krytyka Władysława Prokescha, jako przeciwstawienie Ariela — Stanisławskiego. M. in. czytamy:

„Nicość Prokescha miała coś apokaliptycznego; to był na swój sposób fenomen; przez trzydzieści lat z górą był sprawozdawcą literackim, teatralnym, malarskim, muzycznym... Pomaga mu w tej pracy absolutna ignoracja. Wyrobił sobie specjalny słownik frazesów, które nie znaczyły nic, których można było użyć do wszystkiego, jak na przykład: „uwypuklić nieprzeciętne walory, owiane sentymentem"...

J. H.

W GRECJI BEZ ZMIAN



Rys. Tadeusz Ulatowski

DUDY I DUDKI

ANEGDOTY

Teofil Gautier został pewnego razu wyzwany na pojedynek t. zw. amerykański. W pojedynku tym wyciągnął czarną gałkę, co oznaczało, że musi sam pozbawić się życia. Przyjaciele sekundanci wręczyli mu pistolet i zamknęli Gautiera w pokoju. Po chwili rozległ się huk strzału. Wszyscy wbiegli do pokoju: na krześle siedział uśmiechnięty Gautier z dymiącym jeszcze pistoletem w ręku.

— Co to ma znaczyć? — spytali zgorszeni sekundanci.

— Chybiłem — odparł zadowolony Gautier.

— Jakto — chybiłeś? Ależ wszyscy będą cię uważali za świnię bez honoru.

— To trudno. Niech uważają. Wolę być świnią bez honoru, niż honorowym nieboszczykiem!

— Tak, ale teraz przecież nikt ci nie poda ręki!

—A jak bym był nieboszczykiem, toby podał?

* * *

— Jak myślisz — pytał Aleksandra Dumasa jeden z jego przyjaciół — mam pożyczyć Gastonowi sto franków?

— Bezwarunkowo — odparł kategorycznie Dumas.

— Dlaczego — bezwarunkowo?

— No, bo inaczej Gaston przyjdzie do mnie.

* * *

Zdarzyło się, że pewien żółtodziób zakochał się w George Sand. Zdobywszy względy znakomitej pisarki, oświadczył jej z przechwałką:

— Wiesz co, chcę być z tobą zupełnie szczery i powiedzieć ci prawdę — nie jesteś bynajmniej pierwszą, którą kocham.

— Ja również będę szczera — uśmiechnęła się z politowanie George Sand — pan się jeszcze musi dużo uczyć.

* * *

— Słuchaj — zaproponował kiedyś jeden z wydawców Balzakowi — my musimy raz w naszych wzajemnych stosunkach stanowczo zostać porządnymi ludźmi!

— Owszem, dobrze — zgodził się Balzak — ale kto zacznie?

* * *

Musset był chory. Wezwano lekarza. Stary eskulap usiadł przy łóżku i zaczął się przyglądać choremu.

— Pański wygląd — zauważył po chwili — wcale mi się nie podoba.

Musset skrzywił się ironicznie.

— A pan myślał, doktorze — rzekł — że pan przychodzi do królowej piękności?

* * *

Oktaw Feuillet wracał w nocy do domu odmienną, niż zwykle drogą, jakąś pustą uliczką. Naraz obskoczyło go kilku apaszów.

— Dawaj portfel! — krzyknęli.

— Bardzo panów przepraszam — odparł na to spokojnie Feuillet — ale tak się złożyło, iż nie mam przy sobie ani pieniędzy, ani nawet zegarka. Jedno mogę tylko dla was zrobić: będę polecał tę drogę wszystkim swoim znajomym...

* * *

Chateaubriand zaczął się uczyć grać w krokieta. Po pewnym czasie był zdania, że jest mistrzem w tej grze.

Jednego razu „robił partię" w ogrodzie na oczach swoich przyjaciół.

— No, i co? — zapytał z dumą — Jak wam się podoba moja gra?

— Owszem, owszem — odrzekli chórem przyjaciele — ale my wolimy krokieta.

Z CYKLU: FILMY RYSUNKOWE



Rys. Alinko

„Ulica Złoczyńców"



Rys. Stanisław Cieloch

Perły i wieprze

MIĘDZY NAMI

TADEUSZ SMULKOWSKI (Gdynia — Orłowo) Nadesłany przez Pana wycinek rzeczywiście „aż się prosi o skomentowanie". Dlatego zapewne został odrazu skomentowany przez szereg pism codziennych.

„ZOFIA" (Katowice) Pisze Pani: „Rózgi" uważam za pismo bardzo przyjemne i dowcipnie redagowane, wobec tego pozwalam sobie przesłać kilka moich próbek z zapytaniem, czy ewentualnie... "Ewentualnie, P. Zofio — nie.

ANTONI CZAJKA (Kraków) Pańska bajka, panie Czajka — nie do druku.

MARIA LUCIEWICZ (Kraków) Tyle już się pisało na ten temat, iż zupełnie się nie dziwimy, że nie udało się Pani wymyśleć nic oryginalnego.

F. GAWIC (Białystok) Uważa Pan „iż sympatyczniejsze są utwory stare a dobre, niż nowe a słabe"? Jesteśmy zdania, że sympatyczniejsze" są utwory nowe a dobre.

„ALMA" (Warszawa) Nadesłała nam Pani wiersz, zaczynający się od słów: „Mój Stasieńku, mój kochany — pojedziemy na Bielany". Może się Pani przejedzie z tym do „Świerszczyka"?

STEFAN RUDZKI (Rawa — Maz.) Pisze Pani: „Choć prowincja u nas, w Rawie, czas upływa nam ciekawie". Nie uwierzylibyśmy w to nigdy, gdyby nie następujące słowa wyjaśnienia: „... jest tu bowiem pewna knajpka, gdzie czas płynie jak ta bajka".

HELENA RZĘTKOWICZ (Poznań) Trudno nam „reflektować" na niewidzianego.

ZDZISŁAW K. (Łódź) Nie kupujemy kota w worku. Niech Pan przyśle.

Z. Z. (Grodzisk), **JÓZEF PEŁCZ** (Radom), **TADUSZ HORSKI** (Piotrków Tryb.), **KAZIMIERZ OLESZKIEWICZ** (Skierniewice), **„SUPER"** (Częstochowa), **„EF-EF"** (Bielsko) **dr. A. LEMAN** (Gdańsk), **„MIRA"** (Tomaszów Mazowiecki), **PIOTR F.** (Stryków koło Łodzi), **„POLONUS"** (Włochy pod Warszawą), **„DYL SOWIZDRZAŁ"** (Żyrardów), **„METEOR"** (Bytom) — z żalem zawiadamy, że nie skorzystamy.

Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej.
Redagują: Stanisław Sojecki, Stefan Stefański

„Rózgi" ukazują się co tydzień. — Redakcja: Łódź, Piotrkowska 98 — telefon 212-57.
D 012776 Wydaje: „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42.